

Allice skierowała swój wzrok tępo na kark rymaka. Przez chwilę nie odpowiadała Robertowi... Nagle podniosła na niego oczy, które rozbiły takim płomieniem pogardy i nienawiści, że Robert spojrział zdziwiony.

Smukła postać wyprostowała się, mała główka podniosła się dumnym ruchem.

Szybko, namiętnie, gorączkowo mówić zaczęła: — Panie Price, ja myślałam, ja mam nadzieję, że ta okropna przygoda pójdzie w zapomnienie... Nie sądziłam, aby ci ludzie poważyli się jeszcze raz powtórzyć swoje nieczne zabiegi. Ale jeśli tak jest, ja napewno nie stanę w ich obronie, nie będę przeszkadzała zasłużonej karze. Jeśli odnajdziecie i schwytaacie tych nędzników, ukarzą ich. Ja będę się starała dostarczyć wam dowodów ich winy. Ale teraz nie mogę... nie mogę wam nic pomódz. Nie widziałam żadnej twarzy, głosy dochodziły do mnie przytłumione i zmienione przez telefon. Nie wiem nic... nic... ale niech pan powie panu Larkinsowi, że nie mam nic przeciwko temu, aby on zajął się tą sprawą... Jedną mam tylko prośbę do pana, panie Price. Jeśli zdołacie schwytać tych ludzi, niech pan mnie uprzedzi o tem na kilka godzin wprzód, zanim będę zmuszona spojrzeć im w oczy. Czy dobrze, przyrzeka mi to pan?

Wyciągnęła ku niemu swą małą rączkę, a czarne ogniste jej oczy spoglądały na niego z błagalnym wyrazem.

Robert nie odpowiadał przez chwilę. Wreszcie wyrzekł powoli:

— Przyrzekam pani w imieniu własnem i w imieniu Willa.

— Ja pana tylko prosiłam!...

— Więć daję pani słowo honoru! — odparł mocnym głosem.

Ręce ich spłotły się w mocnym uścisku. Po chwili Allice cofnęła rękę i szepnęła cicho:

— Jaki pan dobry!

Jechali jakiś czas w milczeniu, poczem Allice nawiązała do przerwanej rozmowy.

— Panie Price, trudno sobie panu wyobrazić, jak obecna sytuacja jest dla mnie przykra i męcząca. Dlatego zdaje mi się, że byłoby najlepiej, gdyby jedno z nas, tj. ja lub Will wyjechało. Oboje czujemy się skępowani, zmieszani. Odczuwam to samo na sobie. On jest dobry, szlachetny, rozumny, delikatny, ale względem mnie niezupełnie naturalny, chciałem powiedzieć: obecnie niezupełnie naturalny. Sądzę, że on nie rozgniewa się na mnie i że pan także nie straci dla mnie życzliwości, jeśli powiem otwarcie, co myślę. Will zadaje sobie przymus, odwiedzając mnie codziennie i ja zwalniam go od tego... Niech mu pan to powie. Później, kiedy się to wszystko wyjaśni...

O jedną jeszcze rzecz chciałem pana prosić. Wolalbym, aby wszystkie wiadomości dotyczące się tej nieszczęśliwej sprawy dochodziły mnie przez pańskie usta. Jednem słowem zapytuję, czy pan chce być także moim przyjacielem. To wielka prośba. Nie! niech pan nie odpowiada odrazu. Niech się pan wprzód namysli, zastanowi, pomówi z Willem. A teraz żegnam pana.

Robert zamyślony powracał do domu. W uszach dzwięczały mu ciągle słyszane przed chwilą słowa.

Wszystko, co mówiła ta dziwna dziewczyna, nappełniało go troską i niepokojem.

Ona cierpiała, to było aż nadto widoczne i jemu zwierzyła się po części ze swego cierpienia. Kimkolwiek była, z czary szczęścia nie piła pełnymi haustami ta, która przybrała imię Allice Sheffield.

Albowiem obecnie Robert Price nie miał już wątpliwości, wiedział, że to nie była Allice Sheffield.

— A jednak — zawołał — ta dziewczyna nie może być zbrodniarką, ani zwykłą oszustką!

Po chwili dodał:

— Może i to lepiej, że ona nie jest narzeczoną Willa... Ja przyrzekłem jej przyjaźń i pomoc. Przyrzekłem i dotrzymam! Nie wiem dlaczego czyni to wszystko, w jakim celu gra komedję, ale głos serca mówi mi, że to szlachetna i uczciwa kobieta!

* * *

Kiedy Robert opowiedział przyjaciółom rozmowę z Allice, Will Larkins zapytał:

— Czy doszedłeś do jakichś stanowczych wniosków po tej rozmowie? Czy ciebie jako prawnika nie uderzyło coś w sposobie, w jaki ona przyjęła twoje słowa?

— W takiej sprawie do stanowczych wniosków dojść jest bardzo trudno. Przyszła mi jednakże jedna myśl do głowy. Zaczynam przypuszczać, że ta dziewczyna przy rozpoczęciu tej całej komedii poczyniła swoim współnikom jakieś przyrzeczenia, których obecnie spełnić nie chce lub spełnia bardzo powoli.

Dlatego też te łotry zaczynają jej niedowierzać, uważają za stosowne bacznie ją śledzić.

— Śledzą ją napewno — wtrącił Briigger — włóczę się za nią jakieś trzy indywidua. Wiem to od Yima Falka, który wkrótce zamiarkował, że jego pani następuje ktoś na pięty... No, ale tymczasem poszukiwania nasze nie doprowadziły jeszcze tak daleko, abyśmy z tego jaki użytek zrobić mogli.

— Muszę wyznać — rzekł Will — że to życie, które wypowiedziała, bardzo mnie przychylnie dla niej usposabia. Będzie to dla mnie prawdziwa ulga, jeżeli nie będę zmuszony grać codziennie komedii...

— I ja jestem zadowolony, że pan będzie miał więcej czasu, panie Larkins. — rzekł Briigger — Skoro tylko wpadniemy na wyraźniejszy ślad, natychmiast wyślę pana na poszukiwania.

Will po chwili rzekł:

— Sposób, w jaki odprawiła Harry'ego Bigsona, którego, nawiasem mówiąc, zdaje się bardzo nie lubi, przypomina mocno dawną Allice. Tylko Allice nie byłaby nigdy zdecydowała się jechać na damskim siodle i przywdziać amazonkę. Czuła do tego nieprzewyciężony wstręt. Coś wam jeszcze powiem. Ja mam krewnych w południowej Karolinie, u których dużo przebywałem. Otóż im więcej tę mniemaną Allicę obserwuję, tem bardziej dochodzę do przekonania, że ona musiała być wychowana w Południowych Stanach.

— To bardzo ważne, nie zapomnę o tem — zauważył żywo Briigger. — Taka wiadomość, gdyby była pewną, mogłaby nam być bardzo pożyteczną. W każdym razie początek zrobiony i mam nadzieję, że wkrótce pochwycimy nić Aryadny, która nas z tego labiryntu wyprowadzi.

Wstał i spojrzął na zegar, stojący na kominku.

— Żegnam was, moi panowie, czas na mnie. Przypomniałem sobie, że mam dawnego kolegę i przyjaciela w Raleigh. Jest to bardzo zdolny adwokat, który napewno będzie się mógł porozumieć z szefem policyi w Stanach Południowych. Muszę spieszyć, aby napisać kilka słów do mojego dzielnego Joe Hartnessa.

— Dziwny człowiek ten Briigger — rzekł Will, kiedy za detektywem zamknęły się drzwi — ja go doprawdy chwilami nie rozumiem.

— Wystarczy jeżeli on sam siebie rozumie. Możesz być pewny, że on czasu nie traci.

— To też ja choć nieraz, jak powiedziałem, nie rozumiem go, jednakże ufam mu bezgranicznie.

— I ja także — odparł Robert.

ROZDZIAŁ XII.

Wiatr pośląncem.

Pani Nelly Larinon-Peach wybrała się wraz z mężem na daleką wycieczkę konno. Oświadczyła, że sprzykrzyły się jej wygodne szerokie aleje i pragnie zapoznać się z krętymi ścieżkami leśnymi.

Zyczeniu jej stało się zadość, ponieważ po dwóch godzinach jazdy państwo Larinon-Peach znaleźli się na cieniastej drożyni leśnej, zdaleka od miasta, jego hałasu, gwaru i pyłu.

Pani Nelly, wciągając z rozkoszą w płuca żywica przesycone powietrze leśne, zwróciła się do męża:

— Prawda, że miałam dobry pomysł, urządzając tę wycieczkę. Odetchniemy trochę, nie lękając przez kilka godzin kurzu miejskiego i nie słysząc łoskotu automobilów ciężarowych. Możemy przytem spełnić dobry uczynek, mianowicie poszukamy jakiegoś ładnego wiejskiego domu, któryby był odpowiednim na letnie mieszkanie dla Agnieszki.

— Ach! daję mi spokój z tą Agnieszką i jej letniem mieszkaniem! Czyż masz mnie za takiego głupca, że chcesz abym uwierzył w nagłe sielankowe upodobania Agnieszki i twoje pełne poświęcenia poszukiwania? Agnieszka i cichy zakątek leśny, gdzie nie można się stroić i robić plotek — to dwa przeciwieństwa... Wyobrażam sobie, jakby jej się podobała taka leśna sielanka, którą ty jej gwałtem chcesz narzucić, niewiem w jakim celu... Nie pojmuję, co ci właściwie zaświtało w twojej trochę szalonej główce, ale w każdym razie widzę jasno, że coś niezwykłego i że nie o Agnieszkę tutaj chodzi. Jeżeli chcesz mnie wywieść w pole, to musisz sobie jakiś inny chytrzejszy pozór obmyśleć... Cóż ty znowu teraz wyprawiasz? — zawołał pan Larinon-Peach, widząc, że żona jego zbacza z drogi na niewyraźną ścieżynkę, prowadzącą do malej, wąskiej rzeczki.

Ścieżka zwężała i zacierała się coraz bardziej, ale po drugiej stronie rzeczki widać było wygodną, dosyć szeroką drogę wiejską.

— No, ta rzeczka chyba nie będzie przeszkodą,

któraby nas zatrzymała? — zaśmiała się pani Nelly i wspiawszy konia, skoczyła w rzeczkę. Srebrne krople wody prysnęły z kopyt konia na elegancką amazonkę pani Larinon-Peach, która jednak nie sobie z tego nie robiąc, wykrzyknęła zadowolona:

— Ach! jak przyjemnie! Szkoda, że nie można dłużej jechać w tej ślicznej, lśniącej, srebrzystej wodzie!

Pan Larinon-Peach pospieszył za swoją małżonką i po chwili oboje znaleźli się na owej wygodnej drodze, na której mogli swobodnie puścić się galopem.

Dzień był prześliczny, rozgrzane powietrze przesycone było wonią ziół leśnych i łąkowych oraz świeżo skoszonego siana.

Okolica zdawała się być zupełnie niezamieszkałą, jak daleko sięgał wzrok nie było widać żadnego domu, najbliższy obłoczek dymu nie unosił się w czystym powietrzu.

— Zdaje mi się — rzekł pan Larinon-Peach — że tutaj chyba zupełnie ludzie nie mieszkają. Pustka zupełna.

— O! nie! — zawołała mała kobietka zwalnając biegu — to jest zbyt piękne, aby się wkrótce nie miało skończyć. Taka czarująca okolica, że też nikomu nie przyszło na myśl zbudować sobie tutaj willę na letni pobyt. Cóż to za wspaniałe naturalne parki. Chciałabym wiedzieć, co jest za tym lasem...

— Prawdopodobnie znowu las, bo nie zdaje mi się, żeby tutaj ludzie mieszkali.

Puścili się znowu galopem i pędzili drogą w milczeniu.

Dopiero na jakimś zakręcie, gdy pani Nelly wyprzedziła nieco swego męża, pozostawiając go w tyle za sobą, wyrwał się z jej ust okrzyk zdziwienia.

— Patrz Arturze! tutaj jest jakiś dom. Widocznie nie jesteśmy na świecie jedynymi rozsądnymi ludźmi, którzy się znają na tem co piękne. Tutaj ktoś mieszka, widzę komin.

— Jeden tylko?

— Nie, jest ich więcej. Wiesz, mam zupełnie takie wrażenie, jak gdybym była Krzysztofem Kolumbem.

Rzeczywiście ukazało się kilka kominów, a wkrótce potem na pagórku piękna willa, najwidoczniej dopiero ukończona.

— Zachwycająca willa — zawołała Nelly — tylko bardzo samotnie położona i zdaje mi się, że dotychczas nikt w niej nie mieszka.

— Sądzisz, że willa jest niezamieszkała? Czyż nie widzisz odcisków kół na drodze, która ku niej prowadzi... tak, nie mylę się, tedy jechał automobil i to duży automobil.

— No, wszystko jedno, jedźmy dalej. Chciałabym spotkać kogoś, ktoby mnie mógł objaśnić, czyją własnością jest ten piękny dom, zbudowany na takim odludziu.

Pani Nelly nie potrzebowała czekać zbyt długo na zaspokojenie swej ciekawości. Na najbliższym zakręcie drogi ukazał się wysoki, rosły wieśniak, który począł udzielać informacji z jak największą skwapliwością, widząc, że pan Larinon-Peach sięga do kieszeni.

— Tak, proszę pani, mogę pani wszystko opowiedzieć. Wprawdzie nie jestem tutejszy i dopiero od kilku miesięcy przebywam w tej okolicy, ale historię tego domu to zna tutaj każdy. Pani pewnie także słyszała o tych bogatych Penbrokach. Otóż stary Penbrok zbudował ten dom dla swojego syna, który był podobno sławnym malarzem i bardzo lubił wieś. Ale zaledwie stary zdążył ukończyć dom, kiedy przyszło nieszczęście. Ten syn utopił się w stawie, niewiadomo czy przypadkiem czy naumyślnie. Penbrok był w rozpacz, nie chciał więcej patrzeć na ten dom i wyjechał wkrótce z żoną i młodszymi dziećmi do Stanów południowych.

— A obecnie czy mieszka kto w tym domu?

— Tak, stary Penbrok wynajął go bardzo tanio jakiejś starszej chorowitej damie, która przyjechała tutaj ze swoim synem, akademikiem; chodzi na uniwersytet w Nowym Jorku.

— No, widzisz Nelly — zawołał śmiejąc się pan Larinon-Peach — twoja romantyczna główka wysnuła sobie już pewnie jakąś nadzwyczajną historię, a tu tymczasem mamy starszą chorowitą damę z synem akademikiem.

Nelly uśmiechnęła się i popędziła konia.

Pogoda zmieniała się powoli, zerwał się lekki wiatr.

Wkrótce też na horyzoncie ukazało się kilka kominów.

— O znowu kominy i dachy! — zawołała pani Nelly — możebyśmy rozpoczęli odwrót, bo wiatr się zrywa. Mój koń...

(Ciąg dalszy nastąpi).